

Pollaco, czyli czarnogórskie klimaty

„Ochłodziło się”- tymi słowami powitał nas w Budvie pan Łukasz, rezydent biura podróży. Spojrzałam na mojego partnera, partner spojrzał na mnie, bo nie bardzo byliśmy w stanie pojąć, co i gdzie się ochłodziło. Z nieba żar się leje, marzymy tylko o tym, by zdjąć jeansy, w których przylecieliśmy z kraju nad Wartą, bo za chwilę ugotujemy się na miękko... Rezydent spieszy z wyjaśnieniem, że teraz jest trzydzieści kilka stopni, a jeszcze do niedawna słupki w termometrach wskazywały ponad czterdzieści... Zatem rzeczywiście – ochłodziło się.

I tak to jest w tej Czarnogórze: wszystko jest względne. Kraj kontrastów, a zarazem spokoju charakterystycznego dla ludzi, żyjących w ciepłym, czy jak na nasze standardy, gorącym klimacie. „Pollaco”- tym słowem, wcale nie określającym naszego kraju i narodu, można scharakteryzować podejście Czarnogórców do życia. „Pollaco” to nic innego, jak powoli, spokojnie, bez pośpiechu. Chętnie byśmy owo „pollaco” zaszczepili Polakom, bo to wszak naród znerwicowany, wiecznie dokądś goniący, spieszący się i strasznie wnerwiony na innych.

Do Budvy dotarliśmy dzięki ogólnopolskiemu biur podróży. Wylatywaliśmy bladym świtem z Poznania do Dubrownika, by stamtąd klimatyzowanym autobusem przekroczyć granicę chorwacko-czarnogórską i po kilku godzinach dotrzeć do celu naszej podróży, czyli do Budvy. Wszystko odbyło się szybko i zgodnie z planem. W naszym kraju, podczas załatwiania wyjazdu, nikt nie robił problemu z faktu, że osoba niepełnosprawna wybiera się w dość daleką podróż. Zresztą już jesteśmy zaprawionymi w bojach podróżnikami, więc nie dajemy się zbyć byle czym i potrafimy postawić na swoim.

Wracając do owych czarnogórskich kontrastów, to są one wszędzie, począwszy od przyrody, ukształtowania terenu, bo góry wprost schodzą do morza, a na poziomie życia mieszkańców młodego kraju (2006 roku ludność opowiedziała się za oderwaniem od Serbii i utworzeniem niepodległego państwa). Ponieważ mieszkaliśmy nieco na uboczu Budvy, więc mieliśmy okazję poobserwować życie toczące się na takiej zwyczajnej ulicy, gdzie domy pamiętają jeszcze zjednoczoną Jugosławię pod rządami Tity. Miało to swój klimat, ale w czasie największych upałów dotarcie nad morze było dla mnie nie lada wyczynem :-). Jednak , nie będąc ograniczeni czasem, nigdzie nie musieliśmy się spieszyć. To jest właśnie plus spędzania wakacyjnego czasu, tak jak nam się podoba. Zrezygnowaliśmy z wycieczek fakultatywnych, zgodnie stwierdzając,

że byłby to dla mnie zbyt wielki wysiłek i niepotrzebny stres. Zatem Budwę zwiedzaliśmy w tempie „pollaco”, nie spiesząc się i mając czas na podziwianie tego wszystkiego, co w danym momencie nas zainteresowało. W czasie tych codziennych wędrówek życie ratował nam solidny zapas wody, który stale uzupełniany znajdował się w plecaku.

Ponieważ oboje lubimy czytać i wszelkie słowo pisane nas zaciekawia, od razu zauważyliśmy,

że w tym nad adriatyckim państwie funkcjonują obok siebie dwa alfabety: łaciński oraz cyrylica, o czym najlepiej można było sobie uświadomić patrząc na pierwsze strony gazet w kioskach oraz na billboardy. Tak na moje niewykwalifikowane oko, bo lingwistą nie jestem, to cyrylica nieco różniła się od tej rosyjskiej. Jednakże bez względu na pisownię, nasz słownik wyrazów w języku czarnogórskim jest całkiem niezły, tym bardziej, że praktycznie nie ma różnicy między nim, a chorwackim. Jednak jest też sporo pułapek i zwrotów, które przyprawiły nas o lekkie zdziwienie i... atak śmiechu.

W pewnej przemiłej knajpce, w jelowniku (menu) stało jak byk: jaja na oko. W obawie żeby nie dostać jajami w oko nie zapytaliśmy kelnera co to za potrawa. Innym znów razem mieliśmy okazję podziwiać billboard reklamujący szminkę, na którym ogromnymi literami wypisane było: PUPA. Wolimy nie wyobrażać sobie, co oni tam malują sobie tą szminką...

Musimy przyznać, że sami też wpadliśmy w pułpkę językową. Potrzebowaliśmy plastra z gazą. Wstąpiliśmy więc do apteki. Niestety ani ja ani mój partner nie wiedzieliśmy, jak po angielsku jest „plaster”, a po serbo-chorwacku nawet nie próbowaliśmy zgadywać. Po dłuższym tłumaczeniu (wspomagany pantomimą) urocza pani aptekarka powiedziała: „Aaa, plaster!” a później ze zdziwieniem patrzyła jak zataczamy się ze śmiechu...

Przygoda z plastrzem przydarzyła się nam w zabytkowej części Budvy... Dla turystów Budva to przede wszystkim „stari grad”, czyli stare miasto, leżące na cyplu, a klimat miasteczka bardzo przypomina Trogir, który zwiedzaliśmy rok temu.

W Budwie, jak większości miast leżących nad Adriatykiem, w ciągu wieków przeplatały się strefy wpływów. Korzenie miasta sięgają IV w. p. n. e., kiedy powstała tutaj osada iliryjska,

by przejść we władanie Greków, a potem Rzymian.

W naszej erze Budva była we kręgu wpływów bizantyjskich. Również Wenecjanie, którzy w swoim czasie stworzyli najbardziej ekspansywną republikę w tym rejonie świata, nie ominęli tego miasta. Następnie Budva dostała się w granice państwa habsburskiego, by wreszcie wejść w skład dużego, niejednolitego kulturowo i religijnie państwa zwanego

Jugosławią. Teraz Budva znajduje się w Czarnogórze, która dopiero w 2007 po oderwaniu się od Serbii, jest niezależnym, suwerennym państwem.

Jaka jest Budva dziś? Przede wszystkim dużo większa niż jej centrum historyczne, czyli Stare Miasto. Starówka ograniczona niewielkim cypelkiem, otoczona wodami Adriatyku, dodatkowo zakleszczona murami obronnymi jest naprawdę mikroskopijna. Ale to właśnie ta niewielka przestrzeń jest jej największym atutem. Po przekroczeniu jednej z bram miejskich, wchodzimy w zupełnie inny świat... Świat maciupęnkich, wąziutkich uliczek, gdzie jedynie może się wyminąć dwoje ludzi, idących z naprzeciwka. Nie ma mowy, by wjechał tu jakikolwiek samochód. Uliczki krzyżują się ze sobą, przeplatają, a w każdej z nich jest jakiś butik, sklepik, piekarnia, gdzie oczywiście można kupić lokalną przekąskę, burkiem zwaną...

Nie ma tutaj większego placu, jak w Trogirze z obszerną loggią i miejskim ratuszem. Największą przestrzeń można znaleźć przed katolicką katedrą św. Jana. Po przeciwnej stronie, lecz tyłem do niego, stoi cerkiew Świętej Trójcy. Całe miasto otoczone jest murami obronnymi, na które można się wdrapać i podziwiać roztaczającą się stamtąd panoramę morza, wyspę św. Mikołaja, czy zabudowania miejskie. Warto zwrócić uwagę na owe bielone kamieniczki z pozamykanymi okiennicami. Do niektórych mieszkań prowadzą schody zewnętrzne, inne mają fantazyjne balkoniki, ale każde z nich posiada... klimatyzację. Bez tego w tym rejonie Europy życie staje się uciążliwe. Uliczki są kręte i wąskie, ale myślę, że wytrawny wózkowicz dałby sobie radę i spokojnie mógłby się napawać atmosferą tego wyjątkowego miejsca. Plusem tak zbudowanej starówki jest całkowity brak ruchu kołowego; cisza i spokój.

Warto wejść do tutejszego muzeum, w jednej z takich kamieniczek, gdzie na mieszczącej się na trzech piętrach ekspozycji można poznać bogatą i burzliwą, nieraz tragiczną historię miasta. Jedno z takich dramatycznych zdarzeń miało miejsce w 1979 roku, kiedy to Budwę nawiedziło trzęsienie ziemi. Muzeum niestety nie jest dostępne dla wózkowiczów, jak i dla osób dla których schody są przeszkodą nie do pokonania.

Oczywiście Budva nie ogranicza się tylko do historycznej części oraz przystani, gdzie cumują zarówno niewielkie łodzie tutejszych rybaków, jak i ekskluzywne jachty. Jest to miasto rozbudowane z ruchliwymi ulicami, sygnalizacją świetlną i kierowcami, którzy przepisy o ruchu drogowym traktują bardzo umownie. Na szczęście nie ma tam typowych blokowisk, tak chętnie budowanych przez rządy krajów demokracji ludowej. Dwu, trzy piętrowe domki z bielonymi ścianami dobrze wpisują się w tamtejszy krajobraz, harmonijnie wkomponowując

się góry okalające miasto. Wysokich budynków na szczęście nie ma zbyt wiele, ale... Wieżowcem chyba będzie ekskluzywny hotel, który jest budowany tuż przy wejściu na plażę... Szkoda... Naruszy on naturalną harmonię, ale przecież to pieniądź rządzi światem, a turystyka jest głównym źródłem dochodów dla Czarnogórców.

Wracając do plaż. Są one żwirowo-kamieniste, więc raczej typowe wylegiwanie się na kocyku lub ręczniku nie wchodzi w grę. Można na cały dzień za kilka euro wynająć leżak wraz z parasolem lub bez (jak to woli) i leniuchować, opalać się i taplać się w ciepłutkiej i słonej wodzie Jadranu, jak Adriatyk nazywają miejscowi. Plaża nie jest tak szeroka, jak nad naszym rodzimym morzem. Bezpośrednio przy niej biegnie promenada, przy której czyha mnóstwo pułapek na turystów w postaci restauracji, mniej i bardziej wyszukanych, barów i stoisk z lodami (niestety przeciętnymi. Pamiętając smak lodów chorwackich,

te czarnogórskie mocno nas rozczarowały). Niestety samo dojście do plaży może być utrudnione dla osób niepełnosprawnych. Kilka schodków stałoby się dla mnie skuteczną barierą, tym bardziej, że nie było przy nich poręczy, nie wspominając o pochylni, gdyby nie pomocna dłoń mojego partnera. Jednak, co ważne tuż przy plaży są toalety (0,5 euro) oraz natryski. Do lokali przy plaży turysta jest serdecznie zapraszany, czyli spacerując po promenadzie jest się w niezwykle miły, przyjazny sposób zaczepiany przez kelnera i zachęcany do wejścia do środka. Dzięki takiej gościnności trafiliśmy do sympatycznej tawerny, gdzie staliśmy się stałymi gośćmi...

Promenada nabiera niebywałego uroku o zmierzchu i po zachodzie słońca. Tuz przed zmierzchem rybacy w niewielkim porcie sprzedają to, co złowili w ciągu dnia, czyli: krewetki, małże, ośmiorniczki i inne owoce morza... Na promenadzie nocne światła, tłum spacerujących ludzi, wśród których przeważają Rosjanie, robią niesamowite wrażenie. Niektóre restauracje proponują gościom zjedzenie posiłku przy stoliku ustawionym na plaży... Nie wiemy, jak wygląda miasto o świcie, bo przed dziesiątą nie wychodziliśmy z naszego klimatyzowanego pokoju...

Święty Stefan miasto zamknięte? Niedostępne dla turystów, a jednocześnie symbol Czarnogóry? Taki paradoks nie mieścił się nam w głowie. Postanowiliśmy to sprawdzić, zobaczyć na własne oczy.

Do Svetego Stefana wybraliśmy się miejskim autobusem. Miasteczko leży niecałe 10 km od Budvy, a trasa jest naprawdę malownicza. Lubimy w nieznanych miejscach poruszać

się lokalnymi środkami transportu zamiast jeździć na wycieczki fakultatywne proponowane przez polskie lub lokalne biura podróży. Takie przemieszczanie się sprawia, że mimo bariery językowej, jest się bliżej ludzi, ich codziennego życia. Dla mnie jest to ogromna frajda, gdy mogę pogapić się na ludzi, posłuchać melodii ich głosu...

Wsiadliśmy zatem do autobusu (bilet 2 euro) i ruszyliśmy przed siebie. Pojazd po wyjechaniu z miasta zaczął wspinać się pod górkę. Wspinał się i wspinał, a my podziwialiśmy przepiękne widoki na morze. Tak naprawdę urok krajobrazu najbardziej mnie ujął w drodze powrotnej, kiedy zjeżdżaliśmy ze wzniesienia...

Po niecałych trzydziestu minutach byliśmy już na miejscu. Czekał nas jeszcze krótki spacer, wciąż pod górę... Wkrótce zobaczyliśmy precudną panoramę miasteczka położonego

na niewielkiej wysepce połączonej groblą ze stałym lądem. Idąc poboczem drogi zauważyliśmy, na niewielkim trawniku rozstawione sztalugi, a na nich obrazy malowane różnymi technikami. Jak się po chwili domyśliliśmy, jakaś grupa niepełnosprawnych intelektualnie Czarnogórców wystawiała swoje prace.

Zeszliśmy niżej, by wreszcie dotrzeć do miejsca przypominającego skwer, obok stał jakiś pawilon, w którym m.in. mieścił się mini market, toalety... My ruszyliśmy wprost na groblę prowadzącą do miasteczka, bo wciąż nie mieściło nam się w głowach, że miasto może być zamknięte, że nie będzie można do niego wejść... Drogę zagroził nam bardzo miły pan w białej koszuli, który uprzejmie, acz stanowczo stwierdził: „prohibicja”, czyli przejścia nie ma... Ręce nam opadły, wszystko nam opadło, no bo jak to? Sveti Stefan to symbol Czarnogóry, tubylcy są z niego dumni, tak jak my jesteśmy dumni z Rynku w Krakowie, Długiego Targu w Gdańsku, czy urokliwego miasteczka, jakim jest Kazimierz nad Wisłą i nie mieści się nam w głowach, by ktoś mógłby je kupić, odgrodzić i zamknąć. Swój symbol państwowy Czarnogórcy mogą jednak podziwiać z daleka albo z poziomu wody, tak jak my podczas rejsu.

Sveti Stefan w XV w. po odparciu Turków, dostał się w ręce rodu Pastrovićióv, którzy wzbogacili się na wojnie. Początkowo zbudowano 12 domów, a największy rozkwit osada przeżywała w XIX w., by w kilkadziesiąt lat później niemal całkowicie się wyludnić.

W połowie ubiegłego wieku miasteczko przekształcono w ekskluzywny hotel, w którym goszczą hollywoodzkie gwiazdy... A nam, szaraczkom pozostaje podziwianie z daleka miasta z jego czerwonymi dachami i morzem oblewającym je z trzech stron...

Trochę się pokręciliśmy, porobiliśmy zdjęcia i wróciliśmy po własnych śladach na przystanek. Jadąc z powrotem autobusem ponownie podziwialiśmy piękną panoramę Adriatyku oraz czerwone dachy domów Świętego Stefana...

Tydzień w Budvie szybko minął. Wracając do kraju już tęskniliśmy za słońcem, ciepłą wodą w Adriatyku, wąskimi uliczkami starego miasta. Jednak skoro raz udało nam się nam dotrzeć w tej rejon Europy, to nic nie stoi na przeszkodzie, by znowu tam powrócić.